

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

GRACE

W sobotę Koenig przyjechał do domu Becka, żeby zabrać nas na półwysep.

Przez okna salonu obserwowaliśmy, jak zatrzymuje się na podjeździe. To było ekscytujące i paradoksalne, że zapraszamy go do domu po tym, jak tak długo próbowaliśmy unikać policji. Zupełnie jak Mowgli, który zaprosiłby Shere Khana na herbatę i ciasteczka. Koenig pojawił się pod domem Becka w samo południe, ubrany w świeżo odprasowaną rdzawoczerwoną koszulkę polo i dzinsy, chyba też wyprasowane. Przyjechał szarą furgonetką chevy, którą pewnie też wyprasował, bo wyglądał na zupełnie nową.

Zapukał do drzwi – było to oszczędne „puk, puk, puk, puk”, które nie wiadomo czemu przypomniało mi śmiech Isabel – a kiedy Sam otworzył, zobaczyliśmy Koeniga stojącego na progu z dłońmi splecionymi w koszyczek, jakby czekał na randkę.

– Proszę wejść – powiedział Sam.

Funkcjonariusz wszedł do środka, nie zmieniawszy ułożenia dłoni. Wydawało mi się, że ostatnim razem widziałam go w innym życiu, gdy stał w takiej samej pozie przed naszą klasą, podczas gdy banda licealistów nękała go pytaniami na temat wilków. Olivia pochyliła się wtedy ku mnie i wyszeptwała, że jest słodki. Teraz Koenig stał tu przede mną, a ona była martwa.

Olivia nie żyła.

Zaczynałam rozumieć to puste spojrzenie Sama, kiedy ktoś wspominał o jego rodzicach. Nie czułam zupełnie nic, kiedy myślałam: „Olivia nie żyje”. Byłam znieczulona jak poznaczone bliznami nadgarstki Sama. Uświadomiłam sobie, że Koenig mnie zauważył.

– Cześć – przywitałam się.

Wziął głęboki oddech, jakby przygotowywał się do nurkowania. Wiele bym dała, żeby wiedzieć, o czym myśli.

– Cóż, a więc dobrze... - skomentował. – Oto jesteś.

– Tak – odpowiedziałam. – Oto jestem.

Z kuchni za moimi plecami wyszedł Cole, a policjant z zaskoczeniem ściągnął brwi. Chłopak uśmiechnął się do niego pewnym siebie uśmiechem. Po wyrazie twarzy Koeniga widać było, że go rozpoznał.

– Mogłem się spodziewać... - rzucił funkcjonariusz. Skrzyżował ramiona na piersi i zwrócił się do Sama. Niezależnie od tego, jaką pozycję przybierał, sprawiał wrażenie, że trudno byłoby go pokonać. – Czy pod twoim dachem żyją jeszcze jakieś inne zaginione osoby? Elvis? Jimmy Hoffa? Amelia Earhart? Wolałbym o tym wiedzieć, zanim przejdziemy dalej.

– To by było na tyle, o ile mi wiadomo – oświadczył Sam. – Grace chciałaby się z nami zabrać, jeśli to nie będzie problem.

Koenig zastanawiał się przez chwilę.

– A ty jedziesz z nami? – zapytał Cole’a. – Bo jeśli tak, to będę musiał zrobić miejsce w wozie. Poza tym czeka nas długa droga. Jeśli macie słabe pęcherze, na waszym miejscu przed wyjściem skorzystałbym z łazienki. – I to by było na tyle. Po ustaleniu podstawowych faktów – ja byłam wilkiem na pół etatu, a Cole zaginioną gwiazdą rocka – Koenig od razu przeszedł do rzeczy.

– Ja nie jadę – odpowiedział Cole. – Czeka mnie męska robota.

Sam rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Prawdopodobnie miało ono coś wspólnego z tym, że kuchnia znowu wyglądała jak kuchnia i Sam chciał, żeby tak pozostało.

Cole zachowywał się enigmatycznie. Kiedy nie pozował na ekstrawagancką gwiazdę, stawał się nadzwyczaj tajemniczy.

– Zabierz ze sobą telefon – przestrzegł Sama. – Na wypadek, gdybym chciał cię złapać.

Sam potarł palcami usta i podbródek, jakby sprawdzał, czy dobrze się ogolił.

- Nie spal domu – mruknął.
- Dobrze, mamusiu – obiecał Cole.
- Och, jedźmy już – zarządziłam.

To była dziwna wyprawa. Praktycznie w ogóle nie znaleźliśmy Koeniga, a on wiedział o nas tylko to, czego nie wiedział nikt inny. To utrudniało komunikację.

Funkcjonariusz był uprzejmy w bardzo bezosobowy sposób i nie byliśmy jeszcze pewni, czy jesteśmy mu za to wdzięczni. Trudno było być jednocześnie wdzięcznym i rozmownym.

Rozsiedliśmy się wszyscy troje na przedniej kanapie: Koenig, Sam i ja. Furgonetka pachniała odrobinę Dr Pepperem*. Policjant przekraczał dozwoloną prędkość o ponad dziesięć kilometrów na godzinę. Droga prowadziła na północny-wschód i wkrótce zostawiliśmy cywilizację daleko za sobą. Niebo nad nami było przyjazne, bezchmurne i błękitne. Wszystkie barwy wydawały się dodatkowo nasycone. Jeśli zima kiedykolwiek tu zakwitła, to miejsce już o niej nie pamiętało.

W którymś momencie Koenig przejechał dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Nie do końca przypominał mi tego policjanta, którego zapamiętałam. Młody facet wiozący nas na pustkowiu w cywilnej furgonetce, ubrany w rdzawoczerwona koszulkę. Nie spodziewałam się, że na tym etapie będę musiała zaufać komuś takiemu. Sam ćwiczył gitarowe akordy na moim udzie.

„Pozory mogą mylić” – pomyślałam.

Wciąż milczeliśmy. Po jakimś czasie Sam zaczął mówić o pogodzie. Powiedział, że jest całkiem ładnie, ale Koenig zauważył, że w Minnesocie z pogodą nigdy nic nie wiadomo. Może zaskoczyć. Potem zapytał Sama, na jakie studia się wybiera, a chłopak wspomniał, że Karyn zaproponowała mu pełny etat w księgarni, więc rozważył tę opcję. Policjant stwierdził, że to żaden wstyd. Pomyślałam o zajęciach uniwersyteckich, o specjalizacjach i sukcesie, którego wyznacznikiem był kawałek papieru, i nagle zapragnęłam, żeby zmienili temat.

- Skąd się wzięł u was St. Clair? – A jednak Koenig nie wytrzymał – musiał spytać.
- Cole? Beck go znalazł – wyjaśnił Sam. – To był przypadek charytatywny.
- Dla St. Claira czy dla Becka?
- Ostatnio sam się nad tym zastanawiam – odpowiedział mój chłopak.

Wymienili z Koenigiem znaczące spojrzenia. Z zaskoczeniem zauważyłam, że policjant traktuje go jak równego sobie, a w każdym razie jak dorosłego. Spędzałam z Samem tyle czasu na osobności, że reakcje innych ludzi na niego i na nas razem zawsze wydawały mi się zdumiewające. Trudno było sobie wyobrazić, że jeden gość może wywoływać tak wiele różnych uczuć. Zupełnie jakby po świecie chodziło czterdzieści wersji Sama. Zaczęłam się zastanawiać, czy istniało też czterdzieści różnych wersji Grace.

Wszyscy podskoczyliśmy, kiedy w moim plecaku – do którego zapakowałam ubranie na zmianę na wypadek, gdybym się przemieniła, i powieść, gdybym musiała wyglądać na zajętą – zadzwonił telefon Sama. Poprosił, żebym odebrała.

Zamarłam, kiedy nie rozpoznałam numeru na wyświetlaczu. Pokazałam go Samowi. Komórka nadal dzwoniła. Sam potrząsnął głową skonfundowany.

* Dr Pepper – amerykański bezalkoholowy napój gazowany w kolorze karmelu o smaku marcepana.

- Mam odebrać? – zapytałam, trzymając rozedrgany aparat w dłoni.
- Nowy Jork – powiedział Koenig, zerkając na komórkę. Przeniósł wzrok z powrotem na drogę. – To kierunkowy z Nowego Jorku.

Ta informacja nic Samowi nie powiedziała. Wzruszył ramionami.

Otworzyłam klapy telefonu i przyłożyłam go do ucha.

- Halo?

Męski głos po drugiej stronie brzmiał lekko.

- Och... no tak. Halo. Czy mógłbym rozmawiać z Cole'em?

Sam zamrugał, patrząc na mnie i zrozumiałam, że też usłyszał to pytanie.

- To chyba pomyłka – powiedziałam.

Mój mózg natychmiast przetrawił, co to oznaczało. Cole użył telefonu Sama, żeby gdzieś zadzwonić.

Do domu? Czy zrobiłby coś takiego?

Rozmówca dalej ciągnął niewzruszonym głosem, leniwym i śliskim jak topiąca się kostka masła.

- Nie, to raczej nie jest pomyłka. Ale rozumiem. Mówi Jeremy. Byliśmy razem w zespole.
- Z tą osobą, której nie znam? – upewniłam się.
- Tak – potwierdził Jeremy. – Chciałbym, żebyś przekazała coś Cole'owi St. Clairowi. Powiedz mu, że daję mu najlepszy prezent na świecie i wymagało to sporego wysiłku z mojej strony, więc będę wdzięczny, jeśli po rozdarciu opakowania nie wyrzuci zawartości.
- Słucham uważnie.
- Za osiemnaście minut prezent zostanie wyemitowany w audycji radiowej Vilkasa. Rodzice Cole'a też będą słuchać – zadbałem o to. Rozumiesz?
- Vilkas? Na jakiej to stacji? – zapytałam. – Nie żebym wiedziała, kim jest Cole, ale...
- Wiem o kogo chodzi – wtrącił Koenig, nie odrywając wzroku od drogi. – Rick Vilkas.
- To właśnie to – potwierdził Jeremy, który usłyszał słowa policjanta. – Ktoś tam ma znakomity gust muzyczny. Jesteś pewna, że Cole'a nie ma w pobliżu?
- Naprawdę go tu nie ma – zapewniłam.
- Powiedz mi coś. Kiedy ostatni raz widziałem naszego nieustraszonego bohatera Cole' St. Claira, nie był w najlepszym stanie. Właściwie to mógłbym powiedzieć, że był w najgorszym z możliwych stanów. Chcę tylko wiedzieć, czy jest szczęśliwy.

Zastanowiłam się, co wiem na temat Cole'a. zastanowiłam się nad tym, co to oznaczało, że miał przyjaciela, któremu tak bardzo na nim zależało. Chłopak nie zawsze musiał być zepsuty do szpiku kości, skoro ktoś z jego minionego życia dbał o niego tak bardzo. A może był tak wspaniały, kiedyś, że miał wiernego przyjaciela, który nadal mu towarzyszy. To jakoś zmieniło sposób, w jaki myślałam o Cole'u.

- Zmierza w tym kierunku – szepnęłam.
- A Victor? – drążył Jeremy.

Na to nie zareagowałam. Mój rozmówca też nic nie powiedział. Koenig włączył radio, ściszył dźwięk i zaczął szukać odpowiedniej stacji.

- Oni obaj umarli dawno temu – odezwał się w końcu Jeremy. – Widziałem to na własne oczy. Ach, czy kiedykolwiek obserwowałaś umierającego przyjaciela? Cóż... człowiek naprawdę może znieść śmierć wokół siebie. „Zmierza w tym kierunku”. – Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że chłopak powtarza moją wcześniejszą odpowiedź. – To mi wystarczy. Powiedz mu, żeby posłuchał Vilkasa, jeśli możesz. Cole odmienił moje życie. Nie zapomnę o tym.
- Nie powiedziałam, że wiem, gdzie jest – zauważyłam.
- Wiem – skwitował Jeremy. – Tego też nie zapomnę.

Telefon zamilkł. Napotkałam wzrok Sama. Niemal letnie słońce świeciło mu w twarz tak jasno, że jego oczy stało się szokująco, niemal upiornie żółte. Zastanowiłam się, czy jego rodzice próbowaliby zabić brązowookiego albo niebieskookiego chłopca. Syna, który nie miałby wilczych oczu.

– Zadzwoń do Cole’a – poprosił Sam.

Wybrałam domowy numer Becka. Telefon dzwonił i dzwonił, i miałam już zrezygnować, gdy coś kliknęło w słuchawce i sekundę później usłyszałam:

– *Da?*

– Cole – powiedziałam – włącz radio.